

Tajlandia - kraj magiczny i wolny. Chiang Mai



Krzysztof Danielewicz



Security
in practice

Tajlandia - kraj magiczny i wolny.

Opracował: Krzysztof Danielewicz

Część II - Chiang Mai

27 grudnia 2021, Chiang Mai

Rano, około godziny 9.40 dotarliśmy do największego na północy Tajlandii miasta – Chiang Mai. Noc minęła bardzo spokojnie, pociąg nie był głośny, a delikatne bujanie oraz bardzo komfortowe łóżko spowodowały, że spało się bardzo przyjemnie. Kiedy obudziłem się około godziny 6.00, na zewnątrz robiło się jasno. Po pobycie w szybkim i hałaśliwym Bangkoku, bardzo chciałem zobaczyć prowincję, góry i wieś. Widoki za oknem były tak urzekające, że praktycznie już nie spałem, tylko patrzyłem przez okno i obserwowałem zmieniające się za nim coraz to nowe, piękne obrazy.



Zdjęcie 1. Dworzec kolejowy Chiang Mai, na którym wysiadłem, podróżując z Bangkoku.

Dworzec w Chiang Mai jest bardzo czysty, spokojny, pięknie udekorowany, co przy pełnym słońcu powodowało, że od razu dopisywały nam humory. Na dworcu sprawdzano dokumenty dotyczące COVID-19. Nie wiem, co okazywali Tajowie, ale w naszym przypadku Thailand

Pass otworzył nam drogę do odkrywania kolejnych pięknych miejsc. Po przebicciu się przez rzeszę kierowców taksówek usiedliśmy w restauracji przy dworcu i zjedliśmy śniadanie. Oczywiście mogliśmy to zrobić również w pociągu, ponieważ co jakiś czas przechodziły panie oferujące wyroby swojej kuchni. Restauracja prowadzona była przez parę typowych tajskich gejów, tzw. ladyman – mężczyzn zachowujących się i częściowo wyglądających jak kobiety, co w Tajlandii jest czymś absolutnie normalnym. To jest wspaniały kraj, jeżeli chodzi o tolerancję i wzajemny szacunek.



Zdjęcie 2. Piękne wnętrze dworca kolejowego w Chiang Mai.

Po zjedzeniu śniadania i uspokojeniu się sytuacji wokół dworca mój kolega zniknął na chwilę i przyjechał pojazdem, który okazał się taksówką, chociaż na taką nie wyglądał. Był to motocykl z przyczepionym z prawej strony koszem, gdzie maksymalnie mogły się zmieścić dwie osoby. Po dotarciu do hotelu – bardzo spokojnego, pomimo że znajdował się w centrum miasta – musieliśmy poczekać trzy godziny na nasz pokój. Wynikało to z tego, że po prostu zjawiliśmy się za szybko. Hotel na poziomie czterech gwiazdek, za cztery noce ze śniadaniem kosztował około 800 zł. W ramach ceny był basen, barek z darmową kawą i herbatą, a także owocami i wodą mineralną bez limitu.

W związku z brakiem gotowego pokoju udaliśmy się do Centrum Informacji Turystycznej. Mapę miasta oraz adres biura otrzymałem od obsługi hotelu. Po bardzo przyjemnym spacerze w warunkach pogodowych, które w Polsce prawie nie występują, dotarliśmy na biura. Tu nastąpiło pierwsze negatywne doświadczenie. W biurze nie mieli map regionu, a młody człowiek, z którym rozmawialiśmy, nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, co ciekawego można zobaczyć w okolicy. Miałem wrażenie, że pochodzi z całkowicie innego miasta i nie ma pojęcia o rejonie, który powinien promować. Po kilku próbach otrzymaliśmy trochę materiałów reklamowych, przewodników i słabej jakości map, które okazały się w pewnym zakresie przydatne.



Zdjęcie 3. Chiang Mai, typowa ulica w centrum miasta, wszędzie stoiska z jedzeniem.

Reszta dnia przebiegała na planowaniu następnych etapów podróży oraz poznawania miasta, które już na pierwszy rzut oka wydawało się bardzo przyjemne. Podczas spacerów późnym wieczorem po mieście zwróciłem uwagę na smutny obraz praktycznie pustych w większości barów i restauracji, co miało związek z ograniczeniami w podróżowaniu, a co z kolei stanowiło konsekwencję COVID-19. Á propos COVID-19 – w siódmym dniu pobytu musieliśmy zrobić sobie sami test pudełkowy na obecność wirusa i wysłać go e-mailem do hotelu, w którym

spędziliśmy pierwszą noc po przyjeździe. Na szczęście wynik był negatywny. Oczywiście widać było turystów z Europy, USA i innych regionów, ale było ich zdecydowanie mniej, niż jak to mówią sami Tajowie, w normalnych warunkach. W samym Bangkoku, przed epidemią, mieszkało 13 milionów ludzi, a obecnie – 9 milionów, ponieważ nie ma pracy, gdyż nie ma turystów. W Tajlandii obostrzenia są bez porównania bardziej restrykcyjne niż w Polsce. Wszyscy wszędzie noszą maseczki. Przy wejściu do wielu sklepów czy punktów użyteczności publicznej porzastawiane są urządzenia do mierzenia temperatury ciała. Zdecydowana większość nosi też maseczki zgodnie z zasadami, tj. zasłania nos i usta.



Zdjęcie 4. Autor na tle jednego z posągów Buddy.

28 grudnia 2021, Chiang Mai – podróż po prowincji

W tym dniu postanowiliśmy wynająć skutery i pojechać na północ Chiang Mai, w rejon Srilanna National Park. Wynajęcie skuterów odbyło się bardzo szybko i sprawnie, ponieważ zostało to załatwione przez panią z recepcji. W ciągu dosłownie 15 minut skutery zostały dostarczone, sprawdzone i przyjęte na podstawie protokołu odbioru i stanu technicznego. Cena to około 30 zł za 24 godziny, maszyny – hondy o pojemności 125 cm³, z automatyczną skrzynią biegów. Oczywiście, po wystartowaniu, należało szybko zmienić orientację na ruch

lewostronny. Trasa początkowo przebiegała przez miasto, były niestety korki, ale kiedy odbiliśmy z głównej trasy, ruch się uspokoił i można było się delektować pięknymi widokami lasów, miejscowości większych i mniejszych. Po drodze odbiliśmy na jedną z gór, gdzie znajduje się jedna z najważniejszych świątyń buddystów w Tajlandii – Wat Phrathat Doi Kham.

Ze wzgórza można było podziwiać piękną panoramę rozciągającą się na okoliczne tereny i oddalone Chiang Mai. Świątynia niestety była bardzo oblegana przez turystów i wiernych. Po krótkiej przerwie wróciliśmy na główną trasę i od czasu do czasu odbijaliśmy w lewo lub prawo, jeśli coś wydawało się nam atrakcyjne. Po drodze mijaliśmy dziesiątki tzw. kuchni ulicznych, gdzie można było zjeść posiłki przygotowane przez lokalne gospodynie. We wszystkich przydrożnych restauracjach można połączyć się z Wi-Fi. Mijaliśmy także piękne hotele i pensjonaty, położone w odległości kilkuset metrów od głównej ulicy, otoczone wspaniale zadbanymi parkami, coś na wzór naszych pięciogwiazdkowych SPA. Niestety przez COVID-19 większość tych obiektów była nieczynna.



Zdjęcie 5. Jeden z luksusowych hoteli położonych z dala od Chiang Mai w otoczeniu pięknej przyrody.

Po drodze odkryliśmy teren, gdzie trzymano słonie indyjskie. Wcześniej czytałem o jednym z miejsc, gdzie żyją szczęśliwe słonie, pod opieką ludzi, ale bez łańcuchów itp. Niestety tu było

inaczej: dorosłe słonie miały łańcuch i liny na nogach, służyły za atrakcję turystyczną, można też było na nich pojeździć. Jednak uważam za ciekawe doświadczenie, kiedy jadąc skuterem boczną drogą, musieliśmy się zatrzymać, bo akurat przechodził słoń, czy widząc znak drogowy: „Uwaga miejsce przechodzenia słońi”.



Zdjęcie 6. Jeden ze słoni ze swoim opiekunem.

Podczas drogi powrotnej, w miarę nabierania pewności, zwiększała się też prędkość jazdy skuterami, co w konsekwencji skończyło się dla mnie całkowitą katastrofą. Zjeżdżając bardzo stromą i krętą drogą, chciałem zredukować prędkość, niestety – bardzo poważnie upadłem razem ze skuterem. Dodatkowo prawdopodobnie wbiła mi się w plecy kierownica lub stojak pod aparat, który akurat miałem na plecach. Upadając, zdążyłem sobie tylko wyobrazić konsekwencje: zniszczony skuter, połamane i pobijane kończyny, otarcia i tragiczny koniec wakacji. Uderzyłem także bardzo mocno głową o asfalt, a pamiętam, jak jeszcze rano mówiłem, że może pojedziemy bez kasków, bo Tajowie tak jeżdżą, na co Paweł odpowiedział, że on zakłada ze względów bezpieczeństwa. Na szczęście i ku mojemu zdziwieniu skuter odpalił i nadawał się do dalszej jazdy, wyciekło tylko trochę paliwa. Po kilku minutach przerwy na

pozbiernie sprzętu, telefony, gimbały i siebie, pojechaliśmy dalej, aby zatrzymać się w jakimś barze i odpocząć. W trakcie jazdy odczuwałem ogromny ból w plecach po prawej stronie – prawdopodobnie ucierpiały żebra, piekły też otarcia na łokciu i kolanie. Po drodze wyobrażałem sobie także, w jakim stanie mogą być mój aparat fotograficzny oraz obiektyw. Byłem pewien, że żaden sprzęt elektroniczny nie może wytrzymać takiego uderzenia o ziemię. Myślałem sobie, że to będą bardzo drogie wakacje... Jakie było moje zdziwienie, kiedy parkując przy przydrożnej restauracji z pięknym punktem widokowym, sprawdziłem sprzęt i okazało się, że wszystko działa bez zarzutu – prawdopodobnie dzięki temu, że każdy obiektyw i body owinąłem w folię bąbelkową, a dodatkowo na dole plecaka znajdował się kocyk. Podsumowując – poza problemami z oddychaniem, poobijanymi żebrami i 500 batami, które musiałem zapłacić za poobijany skuter – wszystko było OK... Wieczorem poszedłem jeszcze na masaż, ale nie mogę powiedzieć, że był on przyjemny. Mogłem leżeć tylko na plecach, a kiedy gorącą oliwą pani masowała plecy, musiałem siedzieć, ponieważ gdy leżałem na brzuchu, ból był zbyt duży. Dodatkowo, kiedy pani masowała poobijane miejsca, musiałem poprosić, aby przestała, ponieważ ból był nie do zniesienia.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 7. Miejsce feralnego upadku.

29 grudnia 2021, Chiang Mai – zwiedzanie okolicznych atrakcji turystycznych

Po wycieczce skuterami miałem zaplanowany dzień na zwiedzanie miasta. Spacerując ulicą blisko hotelu, zwiedzałem świątynie buddyjskie, których rozmach i piękno po prostu wbijały w ziemię. Większość z tych najpiękniejszych znajduje się w starej części miasta. Po drodze zaciekało mnie biuro turystyczne i oferta wycieczek jednodniowych. Po krótkiej rozmowie okazało się, że za 500 batów można pojechać samochodem osobowym z przewodnikiem w kilka miejsc. Całość miała zająć nie więcej niż trzy – cztery godziny. W ramach wycieczki oferowano zwiedzanie farmy węży, tygrysów, małp oraz wsi zamieszkiwanej przez kobiety z wydłużanymi szyjami.



Zdjęcie 8. Autor w towarzystwie dwóch pięknych kobr tajskich.

Na farmie węży znajdowało się kilkanaście klatek z wężami oraz mała arena do pokazów kobr i innych węży. W trakcie przedstawienia, prowadzonego przez dwóch trenerów przy akompaniamencie muzyki i komentarza prowadzonego przez starszą panią, pokazano nam kobrę tajską, królewską, węża wodnego i pytona. Można było z bardzo bliska zrobić sobie zdjęcie, dotknąć węży i zobaczyć, jak wydobywany jest jad kobry tajskiej. Od dziecka zawsze miałem niechęć do gadów typu węże czy żmije, pomimo że nigdy nie spotkało mnie nic złego

ze strony tych ciekawych zwierząt. Myślę, że to wynikało z treści bajek i filmów, które jako dziecko oglądałem. Bardzo mi zależało, żeby stanąć obok tych zwierząt czy nawet ich dotknąć. Wolno było dotknąć pytona i kobry tajskiej, a także założyć sobie na szyję pytona. Powiem szczerze, że nie czułem żadnego lęku, natomiast same gady są zimne w dotyku. Kosztowało to 200 batów. Jeżeli ktoś nigdy nie widział z bliska tych zwierząt, to uważam, że warto. Oczywiście dyskusyjne jest tu jak zawsze trzymanie zwierząt w klatkach.



Zdjęcie 9. Mało przyjemny widok małpy na rowerze...

Drugim przystankiem były małpy (cena 200 batów). Wchodząc do tego miejsca, zwróciłem uwagę na napis obok kasy, że nie ma zwrotu pieniędzy. Pomyślałem, że musi być jakiś tego powód. Kiedy wszedłem na mały teren, byłem jedynym odwiedzającym. Na wprost znajdowały się scena oraz trybuna dla kilkudziesięciu osób. Po obu stronach trybun stały klatki z małpami – wtedy zrozumiałem informację przy kasie. W trakcie przedstawienia widziałem, jak małpy są uczone strącać orzechy kokosowe. Według trenera wytresowana małpa jest w stanie strącić 500-600 kokosów dziennie, a najlepsze – nawet 1000. O ile jestem w stanie zrozumieć naukę małp w zakresie strącania kokosów, bo to pomaga lokalnej ludności – warto sobie tylko wyobrazić, jaki byłby to wysiłek dla jednej osoby, aby strącić 100-200, nie mówiąc już o 1000

kokosów – to trudno mi zrozumieć sens uczenia małych robienia pompek, brzuszków, jeżdżenia na rowerze czy rzucania piłki do kosza, czego także miałem okazję być świadkiem. Po obejrzeniu całości wiem, że wiele osób – jak ja – może mieć ochotę, aby szybko to miejsce opuścić i chcieć swoje pieniądze z powrotem. Oczywiście daleki jestem też od ostrej krytyki ludzi, którzy się tym zajmują, ponieważ jest to dla nich jedyne źródło dochodu, a z kolei, gdyby nie było chętnych, aby to oglądać i za to płacić, nikt by się tą działalnością nie zajmował.



Zdjęcie 10. Wspaniały tygrys bengalski.

Następnie odwiedziłem farmę tygrysów. Na zdjęciach reklamowych widziałem piękne zwierzęta, głaskane przez ludzi, i tak sobie to miejsce wyobraziłem. Samo wejście do farmy, parking, restauracja czy budynek z kasami wyglądały dość profesjonalnie. Natomiast cena biletu – 900 batów w wersji „wypasionej” – dawała nadzieję na coś naprawdę ciekawego. Droższe były tylko bilety z możliwością zrobienia zdjęcia z gepardem. Przy zakupie biletu musiałem podpisać dokument, że mam świadomość niebezpieczeństwa i za wszelkie obtarcia czy kontuzję nie będę miał pretensji do farmy. Po wejściu widok był dość mało ciekawy – dookoła same kraty i bardzo małe klatki, w których przebywało ponad 30 dorosłych tygrysów różnego umaszczenia, wieku czy gatunku. Wszystkie trzymane tam zwierzęta urodziły się

w niewoli, dziennie zjadają 4 kilogramy mięsa, głównie z kurczaka. Zdecydowanie klatki, w których mieszały były za małe, co tworzyło dosyć przygnębiający widok. Poinstruowano mnie, jak i gdzie mogę głaskać tygrysa. Można było go głaskać, poklepywać, ale raczej ruchami „konkretnymi”, dotykać ogona, ale nie głowy i przednich łap. W ramach biletu miałem zagwarantowanego fotografa, który robił mi zdjęcia swoim aparatem fotograficznym i moim telefonem komórkowym. Samo przebywanie tak blisko tego pięknego kota to ogromna przyjemność. Człowiek ma pełną świadomość, że gdyby to zwierzę chciało, to bez większego wysiłku może zabić człowieka. Możliwość dotknięcia i przytulenia tygrysa uważam bardzo ciekawe doświadczenie życiowe, a ja spełniłem kolejne marzenie z lat dzieciństwa.



Zdjęcie 11. Jedna z kobiet z plemienia „długich szyi” przy swoim stoisku.

Na koniec tego dnia znalazłem się w wiosce (choć to za dużo powiedziane, bo był to raczej rodzaj skansenu, gdzie płaci się 500 batów za wejście) plemienia tzw. długich szyi. Mieszkające tam kobiety wydłużają je sobie poprzez dokładanie odpowiednich obręczy. Po przejściu 100 metrów trafiłem na typowy rynek z kilkoma straganami z suvenirami, przy czym wszędzie było one identyczne. Przy każdym straganie siedziała jedna kobieta, ubrana w tradycyjny strój i oczywiście w obręcz na szyi, która miała ją wydłużyć. Dalej znajdowały się jakieś rozwalające

się drewniane domki, ale trudno nazwać to wsią, tym bardziej że wszystko to znajdowało się w lesie. Wracając, dowiedziałem się od mojej przewodniczki, że nie są to ludzie z Tajlandii, tylko z Birmy. Podobno to wydłużanie szyi miało chronić przed atakiem tygrysa i powodować, że ludzie wydawali się inni niż pozostali. Kobiety przy stoiskach pozowały do zdjęć bez żadnej dodatkowej opłaty. Miało się wrażenie, że ktoś wpadł na genialny pomysł: produkował suweniry, wynajął kilka kobiet, które należały do plemienia lub nie, ale za drogi bilet wstępu pozowały do zdjęć, i każdy był zadowolony.

30 grudnia 2021, Chiang Mai – zdobycie najwyższego szczytu Chiang Mai

Pomimo bólu związanego z upadkiem podjąłem kolejne wyzwanie i pojechałem skuterem na najwyższy szczyt na północ od Chiang Mai. Droga, pomimo że bardzo kręta, była bardzo dobrej jakości, dzięki czemu nie odczuwałem dodatkowych dolegliwości po upadku. Po drodze zauważyłem bardzo ładną świątynię buddyjską. Prowadziły do niej gigantyczne schody, ale wysiłek się opłacał – widok z góry był wspaniały, nie wspominając już o samych budynkach. Oczywiście podobnie jak w przypadku innych religii znajdowało się tam wiele skarbonek... w końcu ktoś musi utrzymać niepracujących mnichów. Wielkie targowisko, bary, restauracje oraz parking położone przy wejściu do schodów prowadzących do świątyni potwierdzały, że miejsce to jest bardzo popularne.



Zdjęcie 12. Jedna ze świątyń buddyjskich mijanych po drodze, oblegana przez Tajów.

Na wyżej położonym terenie, pilnowanym przez wojsko, znajdował się Bhubing Palace. Po drugiej stronie zaniedbaną ścieżką odchodzącą od wielkiego parkingu można było dojść do zagubionej w lesie wioski. Sama wioska i jej naturalne położenie robiły świetne wrażenie, jakby świat zapomniał o żyjących tam ludziach. Tak naprawdę prawdopodobnie mieszkali tam pracownicy obsługujący wspomniane miejsca.

Ostatnim, najwyżej położonym obszarem (1570 metrów nad poziomem morza) było Doi Pui Campsite Visitor Center – dobrze przygotowane miejsce biwakowe, gdzie Tajowie rozbijali namioty, wyposażone w bieżącą wodę, toalety, restaurację, parking samochodowy. Stanowi świetny punkt wypadowy do pieszych wycieczek po okolicznych górach i lasach. Okolica jest bardzo urokliwa, świetnie zaprojektowana i utrzymana. W przyszłości, gdybym miał tu wrócić, z pewnością zostałbym tu na dwie noce i cieszył się wspaniałym górskim klimatem, czystym powietrzem i spokojem.



Zdjęcie 13. Zagubiona w lesie wioska.



Zdjęcie 14. Doi Pui Campsite Visitor Center pole kampingowe.



Zdjęcie 15. Piękne widoki Tajlandii.